



WALERIA MARRENÉ-MORZKOWSKA

MIĘŚNIE I NERWY

Waleria Marrené-Morzowska

Mięśnie i nerwy

(Obrazek)



Fundacja FESTINA LENTE

— Katarzyno! Katarzyno! — wołała dźwięcznym choć słabym głosem na służącą młoda kobieta, stojąc na progu kuchni, jakby lękała się gorąca, jakie tam panowało. — Katarzyno, zakładaj kurczęta na rożen, pan przyjdzie niedługo; a pamiętaj ich nie przepiec, bo pan tego nie lubi!

Katarzyna uśmiechnęła się lekceważąco, przecież wszyscy wiedzieli, że była dobrą kucharką, pani miała czas przekonać się o tym.

Wydawszy ten rozkaz, młoda kobieta cofnęła się z kuchni; była ona piękna i wiotka jak marzenie, drobne jej rysy miały nieokreślony wyraz cierpienia, blada twarz tylko na policzkach zabarwiona była rumieńcem, co nadawało jej chorobliwą cechę, a w oczach głębokich, promiennych płonęło życie młode i uczucia właściwe młodości.

Przez czas jakiś siedziała na fotelu, okolona fałdami luźnej domowej sukni, śliczną główkę wsparła na rękę, a na ustach jej błdził uśmiech, jaki wywołać tylko mogą marzenia szczęścia. Powstawała właśnie z ciężkiej choroby i spoglądała w życie wesoło, jak spoglądać zwykli ci, co są kochani i istnieniem swoim stanowią szczęście drugich. Wyglądała jak kobieta nie

zdolna stawić czoła trudom bytu, ale która może stać się ich osłoda, jeśli tylko znajdzie silne ramię, co ją przez życie przeprowadzi bez szwanku, będzie za nią walczyć i zdobywać.

Snadź znalazła takie ramię. Był ktoś, co myślał na każdym kroku o jej przyjemności, wygodzie, co ustroił dla niej to gniazdeczko miłe, czyste, zaciszne. Młoda kobieta przechadzała się po nim jak po swoim wyłącznym królestwie, to poprawiała fałdy firanek, zmieniała symetrię gracików, rozłożonych na biurku, to oglądała kwiaty stanowiące główną ozdobę małego mieszkania, gdy dały się słyszeć świeże świergotliwe głosiki dziecinne i dwa maleństwa, z których starsze zaledwie cztery lata liczyło, wbiegły do pokoju.

Dzieci wraz ze starą piastunką powracały z przechadzki i czepiając się sukni matki, opowiadały na wyścigi drobne wypadki, zaszłe przez tę parę godzin. Ona obsypywała je pocałunkami, a czasem tylko spoglądała na nie smutnym wzrokiem, jakby żal jej było chwil straconych bez dzieci. Może zazdrościła tym szczęśliwym matkom, które mogą same prowadzić dzieci na spacer, nie bacząc na termometr, wilgoć lub wiatr ostry, jak to ona czynić musiała.

Chmurka ta jednak na pogodzie jej czoła przeszła szybko, rozmawiała z dziećmi, śmiała się i szczebiotała swobodnie, jak to czynić zwykły młode matki, kiedy żadna troska nie ćmi im wesołej myśli.

Wśród tej wesołej wrzawy czas biegł szybko, nadeszła pora obiadowa i wraz z godziną oznaczoną pan domu powrócił z biura, w którym pracował.

Zanim jednak wszedł do saloniku, skąd dochodziły go głosy żony i dzieci, zatrzymał się czas jakiś w przedpokoju niepostrzeżony przez nikogo, gdyż klucz od zatrzasku miał przy sobie. Nie zatrzymał się przecież jedynie, ażeby przyjrzeć się i przysłuchać zabawom rodziny lub też zejść ją znienacka. Potrzebował sam spocząć chwilę, ułożyć twarz i postawę, ażeby tej wesołości nie spłoszyć.

Był to człowiek młody jeszcze, wysoki i szczupły, z włosiem rzedniejącym nad czołem, którego rysy nosiły wyraz inteligencji i energii. W tej chwili jednak znać było na nim znużenie śmiertelne i zupełne wyczerpanie, kontrastujące dziwnie z wiekiem, a wreszcie z wyrazem woli, która widniała w silnie oznaczonych rysach, w charakterystycznych liniach brody, w zaciśniętych wargach.

Stał czas jakiś oparty o ścianę, jakby nie miał siły krokiem dalej postąpić, przyciskając ręką serce bijące gwałtownie, tak iż można było dostrzec, jak uderzenia jego podnosiły rytmicznie zapiętą szatę. Pot kroplisty wystąpił mu na czoło blade i przykleił do skroni kosmyki włosów.

Upłynęła długa chwila, zanim pierwsze zmęczenie minęło, wówczas po cichu zbliżył się do zwierciadła, otarł pot, przyczesał włosy, ożywił przygasłe źrenice, przygryzł wargi, ażeby trochę krwi do nich przywołać i odchylając portierę wszedł do saloniku.

Żona jego siedziała właśnie na niskiej kozetce, mając obok siebie dwoje ślicznych dzieci niby ptaszyna tuląca pisklęta. Widząc męża, z okrzykiem radości

zerwała się, pobiegła do niego i wieszając mu się na szyi, okrywała pocałunkami.

— Stęskniłam się do ciebie, Stachu mój — mówiła.

Kobieta była wiotka jak lilia, mąż wysoki, a jednak zachwiał się pod jej uściskiem, jakby ciężar jej ramion zbyt wielkim był dla niego. Pracowicie ułożona twarz zdradziła znów znużenie, które ukryć usiłował.

— Jesteś zmęczony — zawołała.

Nie mógł zaprzeczyć, a zresztą przeczyłby daremnie. Padł prawie na fotel stojący tuż obok. Żona spojrzała na niego z przestrawieniem.

— Jesteś zmęczony, jesteś strasznie zmęczony — powtórzyła z troskliwością.

— To nic, to przejdzie — szepnął, zamykając oczy, jak gdyby raził go blask dzienny.

Pozostał chwilę milczący, mocując się sam ze sobą. Po chwili wziął znowu górę nad znużeniem i powstał z miejsca.

— Bo ty zanadto pracujesz — wyrzekła żona, patrząc na niego z miłością.

Wzruszył ramionami, jakby domysł ten nie miał żadnej podstawy i zaczął wypytywać ją z troskliwością o zdrowie, o zajęcia, o przechadzkę dzieci, których jednak wbrew zwyczajowi nie wziął na kolana.

Podano obiad. Pilnował żony, ażeby jadła to, co dla niej jest zdrowym, sam jednak próbował jeść daremnie, nawet owych kurcząt, które Katarzyna upiekła po mistrzowsku, skosztował za ledwie. Jak człowiek palony gorączką wypił jedna po drugiej kilka szklanek wody, a

kiedy żona zwracała na to uwagę, zaręczał z uśmiechem, że jadł suto śniadanie.

— Teraz przynajmniej — wyrzekła nalewając mu czarną kawę — posiedzisz ze mną, nieprawdaż?

Nic nie odpowiedział, tylko patrzył na nią, patrzył jak na skarb cenny a znikomy z zachwytem, niepokojem, trwogą i miłością, jakby chciał siłą swojego wejrzenia otoczyć ją atmosferą przyjazną, bronić od niebezpieczeństw, cierpień, smutków.

— Posiedzisz ze mną, nieprawdaż? — powtórzyła z przymileniem rozpieszczonego dziecka.

I widząc, że usta jego poruszają się zaczętym słowem, dodała żywo:

— Nie odmawiaj mi, nie chcę słyszeć odmowy.

Czyż potrzebowała go prosić, ażeby z nią pozostał? Czyż ten dom, w którym ona królowała, nie był dla niego rajem?

Zamiast odpowiedzi, powstał, uścisnął ją i skierował się ku drzwiom.

— Ty odchodzisz — zawołała żałośnie.

— Muszę — odparł, zdobywając się z wysiłkiem na uśmiech.

— Kiedyż wrócisz? Będę cię czekać z herbatą.

— Nie czekaj, zapewne nie będę mógł wcześniej powrócić.

— Jak to, znowu będziesz siedział noc całą?

— Cóż znowu, Maniu, skąd ci myśl podobna.

Wróciłem wczoraj, zaledwie usnęłaś.

Szedł ku drzwiom, ale chód jego był chwiejny i niepewny. Ona spoglądała na niego. Żadne z nich w tej

chwili nie wypowiedziało głębi myśli swojej, pragnęli oszukać się nawzajem, on nie chciał zdradzić cierpienia ani przyznać. On – że wiele nocy przesiedział pochylony nad biurkiem, kończąc układanie rocznego bilansu, którego nagle zażądał jego pryncypał; ona – że dostrzegła w nim zmianę wielką, że nie dała się oszukać fortelami, jakich używał, żeby ją uspokoić. Teraz jednak tego było zanadto, ogarnęła ją niewypowiedziana trwoga. Pobiegnęła ku drzwiom i stanęła w nich naprzeciw męża.

— Kłamiesz — zawołała. — Dzień już był, kiedy powróciłeś do domu.

Nie próbował się więcej już zapierać.

— A gdyby i tak było — wyrzekł z widocznym wysileniem.

— Ja nie pozwolę ci się tak zabijać.

Była w tych słowach siła dziwna. Położyła obie ręce na ramionach męża i śledziła zmiany, jakie ostatnich dni kilkanaście wyryły na jego twarzy. Pierś jej była pełną łkań, drobne ręce drżały.

Ale wola jej spotkała silniejszą wolę, postanowienie rozbiło się o postanowienie. On wziął z łagodną przemocą jej dłonie w swoje i wyrzekł:

— Nie jesteśmy dziećmi, Mario, próżno sprzeczałibyśmy się o słowa. Ty wiesz, że nie zależę od siebie, ty wiesz, że o chleb jest ciężko i że jakimkolwiek kosztem zdobyć go trzeba.

Mówił to dobitnym, choć przyciszonym głosem.

Pojęła zapewne, że miał słuszność, bo ramiona jej opadły bezsilnie, a w oczach zamigotały łzy.

Mąż jej odchodził, ale zwrócił się jeszcze, jakby ukłuty tym niemym wyrzutem i próbował wyrzec wesoło:

— Cóż znowu, bądź spokojną, nic mi nie będzie....
Za dni parę, za tydzień najdalej skończę tę nagłą robotę.

— A wówczas.... — zawołała.

— Wówczas wszystko będzie znów tak jak dawniej.

— Będiesz pracował tylko szesnaście godzin dziennie — odparła z goryczą.

— Czy sądzisz, że gdybym porzucił posiadłość, jaką zajmuję, nie znalazłoby się stu ludzi, którzy by ją pochwycili z rozkoszą? Czy sądzisz, że mi braknie zazdrosnych? Pracować wprawdzie muszę, ale za tę pracę zdobywam przynajmniej dobrobyt całej rodziny, gdy tymczasem inni....

Wiedziała, że miał słuszość, a jednak przekonanie to nie mogło służyć jej za pociechę. Nie mogła się zgodzić z tą wyrobniczą dolą męża, z jego pracą nad siły. Próżno nakazywał jej spokój, ona spokoju znaleźć nie mogła, widziała ciągle przed sobą bladą, wychudłą twarz jego, słyszała krok chwiejny. Zniechęcona i smutna pobiegła do okna i przy zapadającym wieczorze, rozeznała jeszcze jego postać. Szedł powoli, naprzód pochylony, jakby trudno mu było przebyć krótką przestrzeń, dzielącą go od biura.

Wieczór zszedł jej smutno bardzo, chciała doczekać się męża, położywszy się, czekała jeszcze i nasłuchiwała jego kroków, aż wreszcie sen skleił jej powieki, a jego nie było.

Biuro, w którym pracował Stanisław Molski, mieściło się niezbyt daleko od jego mieszkania, przecież te kilkadziesiąt kroków, zmęczyło go bardzo. Sądził, że ruch i świeże, mroźne jesienne powietrze otrzeźwi go i uspokoi rozstrojone nerwy. Tymczasem stało się przeciwnie, potrzeba mu było wypoczynku, nie zaś podniety; spokoju i snu, a nie ruchu. Od kilku tygodni, dnie i noce przepędzał nad pracą, chcąc wykończyć czym prędzej, natarczywie żądane przez zwierzchnika obliczenie.

Zwierzchnik ten nie lubił go i on wiedział o tym dobrze, a przy tym do zwierzchnika uśmiechała się i wdzięczyła pewna ładna brunetka, której mąż zajmował w biurze bardzo małe stanowisko, widocznie mając ochotę zająć większe. Zwierzchnik zaś, jak wielu zresztą zwierzchników, miał miękkie serce i słabość dla podwładnych, mających ładne żony, siostry lub córki, a gdy te wносиły prośby za swymi mężami, braćmi, ojcami, przychyłał się chętnie do próśb, zwłaszcza popartych czarującym uśmiechem, jakim niektóre kobiety uśmiechać się do zwierzchników umieją.

Wprawdzie i Stanisław mógł się pochłubić piękną żoną, ale jego Maria oddana mężowi i dzieciom, nie miała pojęcia o podobnych uśmiechach, prawdopodobnie nawet zwierzchnik nie widział jej nigdy; delikatna i wåtła, potrzebowała żyć w puchu i mąż otaczał ją nim troskliwie. Podobna troskliwość jednak bywa bardzo kosztowną; delikatna kobieta nie jest stworzona na żonę pracownika, który byt rodziny codziennie zdobywać musi.

Gdyby nie Maria, ileż razy rzuciłby był tę wyczerpującą posadę, w której coraz nowe wymagania zmuszały go do pracy nad siły, tym bardziej, że pracę tę narzucano mu systematycznie, nigdy nie okazując z niej zadowolenia, zapewne chcąc wyczerpać jego cierpliwość i doprowadzić go do wybuchu.

Ileż razy patrząc na człowieka, w którego rękę spoczywał los jego, czuł, iż krew wrzała mu w żyłach, a słowa prawdy cisnęły się na usta. Ale on wymówić ich nie mógł, słowa te bowiem byłyby obelgą, zwierzchnik czekał ich i wyzywał. A wówczas co by się stało z jego żoną, z jego dziećmi!

Innej pracy szukać nie był w stanie, trzeba było mieć na to czas, stosunki, pieniądze, a to wszystko było dla niego zbyt ciężkim życiem. Istnieje wprawdzie zdanie, że zdolny pracownik nigdy nie pozostanie bez chleba, ale zdolności pracownika poświadczają zwykle zwierzchnicy, wie się o zdolnościach zużytkowanych, te zaś co marnieją w zapomnieniu, stanowiąc będą zawsze cyfrą niewiadomą w bilansie społecznym. A przy tym Molski zajmował wysokie stanowisko, dobił go się latami pracy, doszedł do tego, że płaca, jaką pobierał, starczyła na dostatek utrzymanie rodziny. Inny na jego miejscu byłby nawet coś odłożył na czarną godzinę, ale zdrowie Marii wymagało wygód, które w jego położeniu słusznie przybrać mogły nazwę zbytków. Nie odłożył nic, zaledwie wystarczyć zdołał.

Gdzież mu więc było myśleć o oporze, o zmianie miejsca, o narażeniu żony na niepewną szansę losu. Czuł się niewolnikiem obowiązków rozlicznych, a

zatem jednym z tych białych Murzynów, których coraz więcej wyrabiają obecne stosunki. Trzeba mu było schylić głowę i znosić, znosić wszystko i pracę wyczerpującą, i arogancję zwierzchnika, i niesprawiedliwość. Wszakże zależał od niego, tylko od niego, zwierzchnik nie potrzebował odwoływać się do nikogo, ażeby zastąpić go kimś innym. Służyło mu wprawdzie prawo regresu do ministerium, ale ministerium miało wiele ważniejszych spraw do załatwienia, niż wglądanie w słuszność takich drobiazgów, jak dymisją jakiegoś tam urzędnika; a gdyby i nie miało spraw ważniejszych, grzeczność sama nie pozwalała działać wbrew woli zwierzchnika i osłabiać tym samym jego powagę.

Molski za nadto znał świat i ludzi, by o tym powątpiewać. A jednak czuł systematyczne prześladowanie tak, iż przypominały mu się czasami bajki z lat dziecińczych o złośliwych czarodziejach, którzy zadawali roboty niepodobne do wykonania, ażeby zgubić tych, co w ich moc popadli.

Jemu jednak trzeba było koniecznie wykonać zadaną pracę bez pomocy żadnej z tych dobrych wieszczek, które w bajkach opiekują się uciśnionymi. Lub też.... Wiedział, że złośliwy czarownik go nie pożre, ale wiedział także, iż na jego miejscu zadaną robotę wykona ktoś inny i ten ktoś inny zajmie jego miejsce.

Usiadł przy biurku, kazał woźnemu zapalić światło i zabrał się do układania i sumowania cyfr. Czas jakiś siedział pochylony, nateżając uwagę. Krew uderzyła mu

do głowy, skronie pulsowały, a przed oczyma zmęczonymi, cyfry mieszały się i tańczyły dziwnie. Parę razy wstawał i przechadzał się po pokoju, i znów zajmował swoje miejsce, ale zmysły wypowiadały mu posłuszeństwo, nadużywał ich przez tyle dni i nocy, pracując jedynie i odsuwając sen od oczu za pomocą natężonych nerwów, iż dziś nie był już w stanie nad nimi panować.

W rozpaczy nałożył paltot i wyszedł na chwilę. Po drugiej stronie ulicy była otwarta jeszcze pierwszorzędna cukiernia, kazał sobie dać filiżankę mocnej czarnej kawy. W chwili gdy pił ją zamyślony, usłyszał swoje nazwisko.

— Jak się masz — wołał przy nim głos znany — cieszę się, że cię spotykam, mam dla ciebie dobre wiadomości!

Dobre wiadomości, doprawdy, przychodziły one w porę. Odzywał się w ten sposób do niego dawny kolega szkolny, dziś doktor, mający w swojej pieczy zdrowie całej rodziny.

— Byłem u twojej żony — mówił dalej, nie zważając na osłupiałe prawie milczenie Molskiego — znalazłem ją lepiej, niżem się spodziewał, niech tylko tę zimę przebędzie w spokoju, bez zaziębienia, niech w lecie pojedzie do Szczawnicy, a ręczę, że nie zostanie śladu po przebytych zapaleniu płuc. Tylko nie pozwalaj jej wychodzić.

Słowa te brzmiały dziwnie w uszach męża. Zdrowie Marii wymagało pieniędzy, dużo pieniędzy, spokój jest to powszechne lekarstwo, którego życie darmo

dostarczać nie chce, on musiał zapracować na wszystko, i na spokój także.

— Nie odpowiadasz mi — ciągnął doktor wesoło — no, spodziewałem się przynajmniej radosnego słówka. Ale cóż ty tu robisz... Spójrz na mnie — i mówiąc to obrócił go ku światłu.

— Jesteś chory — zawołał zupełnie odmiennym głosem, chwytając go za rękę suchą, rozpaloną, gorączkową. — Idź do domu, połóż się.

— Idź do domu, połóż się — powtórzył sucho Stanisław. — Daj mi raczej jakiś preparat, któryby odsunął sen z moich oczu i pozwolił dokończyć zaczętej roboty.

— Żartujesz ze mnie, nie jestem trucicielem, robotę skończysz jutro, wszakże nie zależą od niej losy świata.

Molski nie nalegał więcej, wiedział, że doktor był w niektórych rzeczach nieubłagany. Wyszli razem z cukierni. Była to zimna noc listopadowa, noc nieznośna dla tych, których letnim legowiskiem były ławki skwerów, budujące się domy i bezpłatne schroniska biedaków. Dwóch małych górali w łachmanach próbowało ogrzać się we drzwiach cukierni, skąd za każdym otwarciem buchało ciepłe powietrze. Oczy ich pożądliwie obejmowały stosy ciast, cukrów, owoców i dymiące napoje roznoszone pomiędzy gośćmi przez służbę.

— To ci dopiero szczęśliwi! — mówił jeden do drugiego, spoglądając na wychodzących.

— Ba! — odparł filozoficznie drugi — toć przecież panowie!

I obydwaj żalosnym głosem żebrać zaczęli.

Stanisław rzucił im drobny pieniądz i powrócił do swojej pracy. Znowu całą noc nad nią przesiedział. A gdy nazajutrz, po krótkiej chwili spoczynku, stawiał się w biurze, zataczał się jak człowiek pijany.

Godzina była już dość późną. Zaraz na wstępie powiedziano mu, że pan naczelnik pytał już dwa razy o niego i oczekiwał niecierpliwie, poszedł więc do jego gabinetu.

Naczelnik biura, który względem Molskiego odgrywał rolę złośliwego czarodzieja, nie był wcale wyjątkowym człowiekiem, lepszym lub gorszym od innych. Był to po prostu pan naczelnik, z dozą dobrego i złego, jaka zwykle przypada na ten podgatunek ludzki. Niektórzy chwalili go bardzo, niektórzy ganili namiętnie, prawdopodobnie jedni i drudzy mieli do tego prawo, zapewne był on jak księżyc, który ma światłą i ciemną stronę, a sądy ludzkie wypadały stosownie do tego, czy mieli do czynienia z jedną lub z drugą. Kiedy komu dobrze życzył, pragnął mu dopomóc, kiedy kogo nie lubił, szkodził mu, nie przez złośliwość, gdyż z natury swojej złośliwym nie był, ale jedynie dlatego, że środki miał ograniczone, czyli rozporządzał tylko pewną liczbą posad i gratyfikacji, a tym sposobem nie mógł czynić dobrze jednemu bez szkody drugich, ani dać posady tym, których protegował, bez udzielenia jednocześnie komuś dymisji. Zapewne, gdyby miał do rozdania liczbę posad nieograniczoną, nie udzielałby nikomu dymisji. Ponieważ jednak było inaczej, więc we własnym sumieniu — nb. przypuszczając, że posiadał

ten organ moralny — był zupełnie czysty, kiedy kogo chleba pozbawił. Jeżeli zaś lubienia jego i nielubienia nie zawsze były słuszne i jeśli pociągały go one do spełnienia czynów, noszących pospolicie nazwę niesprawiedliwości, nie było to już tyle winą jego charakteru, jak raczej braku odpowiednich pojęć, wyrobionych na gruncie wiekowej cywilizacji, a na które widocznie w mózgu jego nie było odpowiednich komórek.

Wiadomo przecież, że sprawiedliwość, prawo, cnota, należą do kategorii abstrakcji, o których każdy wiek i każdy stopień rozwoju wyrabia sobie inne wyobrażenie. Zwierzchnik Molskiego, który dostał się na wysoki stopień w społeczeństwie, gramoląc się pracowicie i znosząc bardzo wiele od ludzi, którzy niegdyś stali wyżej od niego, tak w hierarchii społecznej, jak urzędniczej uważał, że miał wszelkie prawo odpłacać obecnie swe dawne trudy i upokorzenia niższym od siebie. Takie było jego przekonanie i tym sposobem kształtowały się jego osobiste pojęcia o sprawiedliwości, jeśli zaś nie były one w zgodzie z etyką powszechnie przyjętą, nie było to znów jego winą. Molski miał nieszczęście nie podobać mu się, gdy przeciwnie niejaki pan Chrapkiewicz, mąż ślicznej brunetki, podobał mu się bardzo. Molski brał pensję cztery razy większą od Chrapkiewicza, nie dziw więc, iż życząc dobrze temu ostatniemu, pragnął posunąć go na wyższy urząd.

Były to wszystko rzeczy tak naturalne, iż doprawdy żaden człowiek obdarzony rozsądkiem dziwić im się nie

mógł, tak przynajmniej znajdował zwierzchnik Molskiego. Z drugiej strony znów nie dziwił się on wcale, że Molski nie miał ochoty z miejsca swego ustąpić, nie miał mu tego nawet za złe w ogólnym tego słowa znaczeniu. On sam w podobnym położeniu robiłby to samo, chociaż w położeniu takim nie był nigdy, uważał bowiem za rzecz elementarnego sprytu podobać się zwierzchnikom, sam niegdyś jako podwładny starał się o to zawsze z gorliwością wielką wszelkimi sposobami, bez rozróżniania godziwych od niegodziwych, bo pod tym względem znowu pojęcia jego nie były zbyt wyrobione, a nawet miały pewne pokrewieństwo z pojęciami dzikich, którzy utrzymują dobrodusznie, iż dobro zasadza się na porwaniu cudzej własności, a złe na niedopilnowaniu własnej. Nie dziw więc, iż dziś, gdy został zwierzchnikiem, czuł się w prawie wymagać, aby podwładni równie gorliwie jak on niegdyś, starali się o jego względy. Skoro zaś Molski tego nie czynił, uważał się w zupełnym prawie zmusić go do ustąpienia. Był to więc rodzaj turnieju trwającego od pewnego czasu pomiędzy zwierzchnikiem a podwładnym, turnieju, w którym pierwszy stawiał coraz wzrastające wymagania, a drugi czynił im zadość z wzrastającą cierpliwością i pracą. Ma się rozumieć, iż walka ta, jak zwykle bywa, zaostrzała niechęci, podwładny nienawidził zwierzchnika nadużywającego swej władzy, zwierzchnik znów nienawidził podwładnego tym bardziej, że ten nie dawał mu pożądanego powodu do dymisji.

Kiedy zaś udało mu się raz przecie przyjechać do biura wcześniej od niego, postanowił udzielić mu przynajmniej napomnienia i skoro nadszedł, kazał go wezwać do siebie.

Był bardzo wzburzony, albowiem wysiadając z powozu przed biurem, spotkał piękną panią Chrapkiewiczową, która minęła go zadąsana, z bardzo ceremonialnym ukłonem. Miała słuszość. Tak dawno obiecywał jej mężowi zwiększenie etatu i obiecywał daremnie. Pan naczelnik był sprawiedliwym pod tym względem, układał nawet sobie, iż musi ofiarować tymczasem jakiś piękny medalion lub bransoletę, ażeby dodać cierpliwości, ale nie było mu to bardzo na rękę, bo jakkolwiek pensję brał wielką i miał nawet jakieś dobra, przecież i pensja i dobra nie wystarczały na jego potrzeby.

Pan naczelnik miał około lat pięćdziesięciu, był to człowiek silny, barczysty, o krótkiej szyi, z głową okrągłą, z twarzą okrągłą, z okrągłymi oczami, co nadawałoby mu wyraz dobroduszny, gdyby nie nos zadarty i na dwoje rozszczypany, który czynił go podobnym do wietrzącego buldoga. Chcąc dodać sobie zapewne urzędowej powagi, stosownej do wysokiego położenia, jakie zajmował, nosił brodę i wąsy starannie wygolone, a za to rozpościerały się wspaniale pod policzkami gęste bokobrody, ognistego koloru, które przy czerwonej karnacji twarzy, nadawały jej wyraz bardziej jeszcze sangwiniczny.

Pan naczelnik siedział na fotelu przed biurkiem, kiedy wszedł Molski. Ci dwaj ludzie stanowili

między sobą kontrast tak zupełny, iż starczył na wytłumaczenie wzajemnej niechęci, choćby nie było ku niej ważniejszych powodów. Jeden atletycznej budowy, ciężki, krwisty; drugi szczupły, smukły, blady; jeden z rozlaną i zatartą twarzą, drugi z rysami delikatnymi, które wyrzeźbiło życie, z czołem szerokim, świadczącym o wyrobieniu inteligencji, z oczami pełnymi iskier myśli, pomimo śmiertelnego znużenia, w czasie, gdy w burych, okrągłych źrenicach naczelnika można było, co najwyżej dopatrzeć się przebiegłości. Jeden był wcieleniem brutalnej siły mięśni, drugi intelektualnej siły nerwów, w dobrej więc gospodarce społecznej temu drugiemu przypadłoby zwierzchnictwo, nerwy powinny rozkazywać mięśniom, tak samo, jak to się dzieje w organizmie.

Ponieważ jednak pod tym względem jak pod wielu innymi, nie rządzą się prawidłowo, mięśnie miały przewagę nad nerwami, pan prezes siedział rozparty w fotelu, a Molski stał przy jego biurku.

— No, panie Molski — zapytał od razu wchodzącego — już godzina jedenasta.

— Całą noc spędziłem przy robocie w biurze — odparł zagadnięty — nad układaniem bilansu, którego zażądał tak nagle pan naczelnik.

— No tak, on mnie bardzo potrzebny, czyś pan już skończył?

To, czego żądał, było prawie niepodobieństwem. Na bladą twarz Molskiego wystąpiły gorączkowe rumieńce. Był podrażniony gwałtownie, próbował wytłumaczyć zwierzchnikowi, iż od kilkunastu dni

przepędzał noce nad tą robotą. Kto inny zresztą byłby to wyczytał z jego zmęczonego oblicza. Naczelnik jednak na twarze swoich urzędników nie patrzył, zwłaszcza też na twarze tych, których nie lubił. Odparł więc niechętnie.

— Ja panu przecież całą noc siedzieć nie każę, zrób pan to, co masz zrobić w godzinę, czy w sto godzin, mnie to wszystko jedno, byłem miał to, co mi jest potrzebne.

— Ależ panie naczelniku, każda rzecz potrzebuje czasu, ja się zapracowuję, więcej uczynić nie jestem w stanie.

Miał na końcu języka, że i tak czynił za wiele, nie powiedział tego jednak i dobrze zrobił, bo zwierzchnik pochwycił:

— Któż temu winien, że pan nie jesteś w stanie, inni by tę robotę dawno skończyli.

Inni! Słowo to było wymówione z naciskiem, zrozumiał, co ono znaczyło; inni, był to niezawodnie Chrapkiewicz, który kręcił się nieustannie koło naczelnika, znosił mu wszystkie biurowe plotki i wieści.

Należało zapewne Molskiemu prosić prezesa, by w takim razie robotę jego powierzył tym innym, godność jego wymagała może takiej odpowiedzi, a kto wie, czy nie rachowano na nią, ale zrozumiał szybko, że podobne słowo równało się dymisji, wspomniał na żonę i nie wypowiedział go. Blade skronie pochyliły się zwolna, wargi zadrgały.

Skłonił się w milczeniu i wyszedł.

W utarczce, jaka tu zaszła, mięśnie otrzymały zupełne zwycięstwo nad nerwami. Nie dziw, przy nich była siła.

Molski powrócił na swoje miejsce w stanie trudnym do opisanego, rozstrojony, wzburzony, zaledwie zdołał zapanować nad sobą wobec zwierzchnika, teraz nastąpiła reakcja. Czuł się niezdolnym utrzymać pióro w ręku, ręce jego drżały, wzrok się mącił, a jednak ten nieszczęsny bilans skończyć musiał jakimś kosztem.

Kiedy wybiła godzina opuszczenia biura i wszyscy urzędnicy udali się na obiad, on nie ruszył się z miejsca, posłał tylko parę słów do żony, by nie czekała na niego. Nie czuł głodu, tylko paliło go pragnienie, nie był w stanie dowlec się do domu, a więcej jeszcze nie był w stanie rozmawiać spokojnie. Maria domyśliłaby się czegoś złego, spojrzawszy na niego, zaklinałaby go znowu, ażeby szanował swoje zdrowie i dawała mu tysiąc rad dobrych, które w obecnym położeniu zakrawały na gorzką ironię.

A potem, robota jego musiała być skończona na jutro, choćby miał to przypłacić chorobą. Wiedział, że ze zdolnością i umiejętnością jego nikt w biurze równać się nie mógł, paliła go żądza pokazania naczelnikowi i jego zausznikom, co zrobić jest w stanie.

Kazał woźnemu zapalić światło, przynieść szklankę czarnej kawy, syfon wody sodowej i nie przeszkadzać mu pod żadnym pozorem.

Woźny słyszał przez czas pewien zgrzyt pióra, biegnącego po papierze, słyszał szum wody sodowej, nalewanej do szklanki, potem wszystko ucichło. Molski

przecież musiał pisać ciągle, bo lampa płonęła na jego biurku.

Woźny jednak nie był obowiązany czuwać całej nocy dlatego, że tak czynił jeden z urzędników. Nocował on tuż przy biurze w małej izdebce, Molski wiedział o tym, mógł więc być na każde jego zawołanie. Ale noc minęła, a nikt go nie wołał.

Nazajutrz, kiedy przyszedł porządkować biuro, zobaczył przez drzwi uchylone od pokoju, w którym pracował Molski, jak żółte światło nafty kłóciło się ze światłem słonecznym, którego różowe promienie uderzały wprost w szyby okna. Zajrzał tam i uśmiechnął się, Molski siedział wprawdzie na swoim miejscu pochylony, ale głowa jego spoczywała na papierach, widocznie sen go zmorzył nad pracą.

Trzeba go przecież było obudzić. Woźny chrząkał, stukał drzwiami, na próżno, nic nie przerywało spoczynku pracownika, który go widać tak bardzo potrzebował. Wreszcie zbliżył się i zgasił lampę, to nawet nie obudziło śpiącego; wówczas dotknął się ręki jego, ręka była lodowata i sztywna. Odskoczył przerażony i zaczął wołać.

Właśnie w tej chwili urzędnicy schodzić się zaczęli. Chciano ratować, ratunek był spóźniony, Molski był już zeszywniały; padł on jak żołnierz na posterunku, zabity apopleksją nerwową, a trup jego uderzył na wstępie do biura pana prezesa, który przyjechał o zwykłej godzinie.

Miał on silne nerwy, a jednak pobladł na ten widok. Nie był to człowiek krwiożerczy i śmierci bliźniego nie

pragnął, toteż czym prędzej wyniósł się z biura w bardzo złem usposobieniu. Molski źle mu się przysłużył tą śmiercią, mógł być krzyk, hałas, może śledztwo. W drodze jednak spotkał panią Chrapkiewiczową, którą mógł śmiało zapewnić, że mąż jej otrzyma wreszcie upragnioną posadę.

A Maria? A jej dzieci?

Gdy zginie ptak na gnieździe, pisklęta ginąć z nim muszą. Maria więcej od dzieci potrzebowała opieki i karmiącej ręki.

Waleria Marrené-Morzowska
Mięśnie i nerwy

Redakcja: *Anna Oldak, Hanna Milewska*

Projekt okładki:
STUDIO OŻYWIANIA KSIĄŻKI KARTALIA

Copyright © for the e-book edition
by FUNDACJA FESTINALENTE 2013

Warszawa 2013

ISBN 978-83-7904-265-4

Fundacja Festina Lente
ul. Nowoursynowska 160B/7
02-776 Warszawa



FUNDACJA
FESTINALENTE
www.festina-lente.org.pl



www.chmuraczytania.pl



www.eLib.pl